

Jan Rokita: Błogosławiona słabość [FELIETON]

Nie ma jednego i przekonującego wyjaśnienia owej historycznie bezprecedensowej słabości Gorbaczowa. Rzecz jest tak unikalna, że nie dziwi wcale, iż wokół jej źródeł zdążyły narósć teorie ocierające się o mity. Próbowano się więc doszukiwać u ostatniego władcy Sowieców nawet motywacji chrześcijańskich: „nie zwyciężać, ale nieść pojednanie” – pisze Jan Rokita w kolejnym felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Władca, który (niemal) bez jednego wystrzału własnowolnie rozwiązał potężne i okrutne imperium, ciężące nad dziejami świata XX wieku, przechodzi właśnie do historii, jako postać osobliwa, unikalna, trudna do pojęcia. W zasadzie trudno znaleźć, nawet w najodleglejszych dziejach, figurę polityczną choćby w jakiejś tylko mierze podobną, gdy idzie o rolę odegraną na scenie świata. Na pierwszy rzut oka narzuca się zestawienie z nieszczęsnym cesarzem Romulusem Augustem, z którego łacińska tradycja nie bez powodu zrobiła infantylnego „Augustulusa”, gdyż to on wniósł do rzymskiego senatu o rozwiązanie zachodniego Cesarstwa Rzymskiego, po czym żył jeszcze długo w wygodnej willi w Kampanii, należącej niegdyś do Lukullusa. Ale ów „Augustulus” nie miał w gruncie rzeczy wyjścia, po tym, jak zbuntowane armie zdobyły Pawię, wydając na stracenie jego ojca – patrycjusza Orestesa, on sam zaś (jak opowiada Gibbon) „całkiem bezsilny, nie mógł już liczyć na szacunek i musiał błagać o łaskę”. Być może w końcu grudnia 1991, kiedy podpisywał akt rozwiązania ZSSR, Michaił Gorbaczow był już niemal tak politycznie bezsilny, jak „Augustulus” w roku 476. Ale z pewnością, w ciągu trzech lat 1989-91, miał liczne i mocne narzędzia choćby częściowej obrony sowieckiego imperium, a tymczasem bezwolnie, niczym manekin na tronie, przypatrywał się rozpadowi państwa, którym władał. A potem przez długie lata, z tego właśnie powodu, czerpał uznanie, pieniądze i sławę, zwłaszcza na Zachodzie, szczęśliwym z takiego, całkiem dlań nieoczekiwanego, rozwoju zdarzeń. Powtórzmy: tej skali polityczna słabość przywódcy imperium nie ma w gruncie rzeczy precedensu w dziejach świata.

Słabość – to rzecz z gruntu antypolityczna. Max Weber, w polemice z chrześcijańskim wizjonerem F.W. Forsterem, napisał owo sławne zdanie, iż: „jeśli kto szuka zbawienia duszy i ratunku dla innych dusz, nie robi tego na drodze polityki, której zadania dają się rozwiązywać tylko przy użyciu przemocy”. W dzisiejszych europejskich realiach nie trzeba nikomu tłumaczyć, że ostatnią i najważniejszą gwarancją istnienia państw jest siła, to znaczy jej posiadanie i gotowość użycia. To właśnie z tego powodu polski rząd na gwałt skupuje teraz po całym świecie czołgi i samoloty, i zapewne czyni roztropnie. Tu tkwi zresztą najbardziej czuły punkt tzw. „doktryny społecznej” zachodniego Kościoła, który choć wydał z siebie niezliczone i wyrafinowane myślowo teksty na temat polityki, nigdy nie był w stanie objaśnić tego, jak ewangeliczna apologia słabości i pokory, obowiązująca przecież w sumieniu każdego chrześcijańskiego przywódcę politycznego, ma się do jego oczywistej odpowiedzialności za los wspólnoty, którą rządzi. Joseph Ratzinger wyrażał dawno temu podziw dla postaci cesarza Karola V, jawiącego mu się jako „figura panującego, który nie chce zwyciężyć, lecz nieść pojednanie”. Wedle przyszłego papieża, Karol zrezygnował z korony (a była to naonczas korona połowy świata) dlatego, że władza była dlań „brzemieniem i cierpieniem”, lecz dzięki temu właśnie odkrył sens władzy. „Tylko władza wypływająca z cierpienia może być władzą niosącą zbawienie; wielkość władzy przejawia się w rezygnacji z władzy” – pisał Ratzinger, odnosząc to do postaci największego z Habsburgów. Ale Karol V, sam porzucając władzę dla pobytu w klasztorze, nie zlikwidował stworzonego przez siebie imperium, lecz roztropnie podzielił je na dwie części, tak by było w stanie przetrwać także po jego odejściu.

Wieść niosła, że Gorbaczow miał się rzekomo nawrócić w trakcie pobytu w Asyżu, choć sam zainteresowany jasno temu zaprzeczał

Nie ma jednego i przekonywającego wyjaśnienia owej historycznie bezprecedensowej słabości Gorbaczowa. Rzecz jest tak unikalna, że nie

dziwi wcale, iż wokół jej źródeł zdążyły naróść teorie ocierające się o mity. Próbowano się więc doszukiwać u ostatniego władcy Sowiec nawet motywacji chrześcijańskich: „nie zwyciężać, ale nieść

pojednanie”. Jego późniejsze zeznania w procesie kanonizacyjnym Jana Pawła II, nieskrywany publicznie podziw dla tego papieża, jak i okazywany entuzjazm dla ogłoszenia jego świętości – umacniały tego rodzaju przypuszczenia. Wieść niosła, że Gorbaczow miał się rzekomo nawrócić w trakcie pobytu w Asyżu, choć sam zainteresowany jasno temu zaprzeczał, deklarując się do końca jako ateista. W każdym bądź razie, wersja moralnych fundamentów słabości Gorbaczowa, owego „brzemienia i cierpienia”, jakie sprawiało mu władanie nihilistycznym i zaborczym imperium w stanie rozkładu, jest wersją dla przyszłej historycznej pamięci ostatniego sowieckiego genseka najbardziej przyjazną. Jego zdumiewająca słabość przestaje bowiem być skutkiem jakiejś gnuśnej bezwoli, a nabiera nawet rysu tragicznego. Ów pupil i polityczny wychowanek mefistofelicznego szefa KGB Andropowa, osiąga dzięki niemu sam szczyt władzy, ale tam odmawia jednak zawarcia definitywnego paktu z ciemnymi mocami. A tylko w ten sposób mógłby przystąpić do zmasowanego użycia przemocy, koniecznego zapewne u końca lat 80, aby próba obrony imperium miała mieć szanse powodzenia. Gorbaczow z tej opowieści zaprzecza powszechności sławnej tezy Maxa Webera, iż: „świat jest rządony przez demony, więc kto obcuje z polityką, to znaczy używa władzy i przemocy jako środków, ten zawiera pakt z mocami diabelskimi”.

Jest też oczywiście całkiem inna, prostsza wersja opowieści o słabości Gorbaczowa, upowszechniana zwłaszcza w latach 90. przez radykałów antykomunistycznych. Ostatni gensek jest w niej nie tylko pupilem Andropowa, ale i wybitnym uczniem zdeprawowanego już wówczas KGB, które miało rzekomo „zaprogramować” ówczesną przebudowę systemu sowieckiego we własnym interesie. Szło bowiem o niepohamowaną zawiść wobec kapitalistycznego Zachodu z powodu jego bogactwa, luksusu, jawnie posiadanych fortun finansowych, które w Sowietach musiały być maskowane i zawsze mogły stać się pretekstem dla represji, albo zemsty ze strony rywali u władzy. Gorbaczow stał się tylko wykonawcą zbiorowej woli sowieckiej tajnej policji, która przestała już wierzyć w komunizm, ale planowała zachować, albo i nawet poszerzyć swe tajne wpływy. W Polsce tego rodzaju tezę głosiła w swoich książkach Jadwiga Staniszkis, która nawet pokusiła się o próbę rekonstrukcji kształtu owego planu przebudowy połowy świata, jaki miał powstać na moskiewskiej Łubiance. Częścią tego planu miało być sowieckie poparcie dla zjednoczenia Niemiec, by tam umocnić na długo agenturalne wpływy, w czasie gdy rządy Anglii i

Francji z nieskrywaną niechęcią patrzyły na taki rozwój zdarzeń w Europie. Gorbaczow z tej opowieści też jest w gruncie rzeczy figurą na poły mityczną, która wykonuje jakiś niesłychany tajny plan, na skalę nieznaną w ludzkiej historii. Ale w jego słabości nie ma już tragizmu; jest tylko perfidia, cynizm, zepsucie.

Muratow mówi o Gorbaczowie, jako „darze dla świata”, gdyż dzięki niemu Europa osiągnęła trzy dekady pokoju

Teraz, po śmierci Gorbaczowa, jeszcze inną, bardzo ludzką opowieść o słabości ostatniego genseka, przedstawił nam Dymitr Muratow – noblista i naczelny

redaktor zamkniętej w Rosji „Nowej Gazety”. Zachodnie media obiegała zresztą fotografia roztrzęsionego redaktora, który w kondukcje żałobnym za trumną niesie duży portret zmarłego. Muratow, który nieźle poznał Gorbaczowa, przedstawia go, chyba nie do końca świadom efektu swego opisu, jako przypadkowego neptka na sowieckim tronie, ceniącego uroki życia prywatnego i słabo rozumiejącego polityczny świat, którego stał się kluczową figurą. „Znacznie bardziej kochał swoją żonę, aniżeli swoją pracę” – mówi Muratow. „Był przekonany, że skończyły się czasy, w których siła rozstrzygała o porządku świata, prawa człowieka cenił wyżej niżli państwo, a pokój niżli wojnę” – dodaje. Muratow mówi o Gorbaczowie, jako „darze dla świata”, gdyż dzięki niemu Europa osiągnęła trzy dekady pokoju. Ostatni gensek ma tu wypaść jako postać poczciwa i sympatyczna, taką, jaką powinien polubić przeciętny mieszkaniec demokratycznej Europy, widząc w nim podobieństwo do siebie samego. Ale ten obraz słabości Gorbaczowa również odbiera jego postaci wymiar tragiczny. Nie jest to książę opierający się demonicznemu ościeniowi władzy, ale jakiś prosty człek, zaplątany w wielką historię, który nie mógłby przecież zjeść z Raissą radosnego podwieczorku, gdyby wcześniej kazał strzelać do ludzi w obronie imperium. Więc dla komfortu kochanej żony zdecydował imperium rozwiązać.

Prawdę mówiąc, nie wierzę w jakieś rozświetlenie tajemnicy Gorbaczowa przez przyszłych historyków. Nawet gdyby hipotetycznie otworzyły się na oścież archiwa Kremla i Łubianki. Sam też nie mam jasności, który z krążących mitów o Gorbaczowie jest najbliższy

rzeczywistości i mógłby posłużyć przynajmniej, jako niedefinitywna reguła interpretacji jego historii, która przecież odmieniła bieg świata. Wiem tylko, że słabość nigdy wcześniej nie odegrała aż tak znaczącej roli w dziejach świata. W tym sensie Gorbaczow, tak czy owak, jest figurą godną kroniki Szekspira. Nie był wprawdzie ani odważny, ani bohaterski. Nie miał nic z „virtu”, jaka ponoć winna cechować księcia. Nie potrafił dobrze rządzić, ani nie umiał zdobyć serc swojego ludu. Był próżny, lubił pieniądze, nagrody, doktoraty honoris causa i łatwe życie. Na koniec jeszcze zaczął się uginać pod wielkoruskim naciskiem Putina. Wpłynął jednak na polityczny kształt świata bardziej od jakiegokolwiek przywódcy końca XX wieku, właśnie za sprawą swej niepojętej słabości, która jest przecież rzeczą z gruntu antypolityczną. Niezależnie od jej tajemnych źródeł, była to słabość błogosławiona, skoro umożliwiła odrodzenie się wolnej Polski.

Jan Rokita